

To cholerne pięć złotych!

Zebrało mi się na wspominki i oglądanie starych zdjęć. O tu – proszę bardzo – klasa Ia Szkoły Podstawowej nr. 2 im. Powstańców Wielkopolskich w Puszczykowie. Zdjęcie zrobiono w roku... 1965, a więc w czasach zamierzchłych. Jestem na nim i ja wśród czterdzieściora pięciorga koleżanek i kolegów – tak liczne były wówczas klasy. Przypatrzmy się uważniej twarzom – nikt nie ma okularów! Dziś wielu miałoby szkła na nosie. Przez kilka pierwszych lat w szkole podstawowej nie miałem bladego pojęcia o istnieniu czegoś takiego jak alergie. Nikt nie był na nic uczulony. Nikt! Kiedy odwiedziła mnie kuzynka cierpiąca na katar sienny nie mogłem zrozumieć, co jej jest. Jak można kichać i łzawić od jakiś „pyłków”? Dziś rozmaite uczulenia uprzykrzają życie większości młodych ludzi. Choroby wśród moich kolegów i koleżanek zdarzały się bardzo rzadko. Oczywiście trafiały się jakieś grypy, przeziębienia i anginy, ale nikt nie chodził z tego powodu do lekarza – leczono się domowymi metodami – gorącym rosołem z żółtkiem, witaminą C, naparem lipowym i innymi ziołami. Podstawą kuracji było solidne wygrzanie się w łóżku pod pierzyną i moczenie stóp w gorącej wodzie czasem z solą. Na wizytę u lekarza trzeba było zasłużyć sobie poważniejszą chorobą – najlepiej zakaźną, a i to nie zawsze. Zdarzały się takie niezmiernie rzadko. Byliśmy wyraźnie zdrowsi i bardziej krzepcy niż obecne młode pokolenie i to pomimo, że o produktach „wzmacniających odporność”, zapobiegawczym łykaniu jakiś tabletek nikt nawet nie słyszał. Do rzadkości należało podawanie witamin.

Pod względem higieny, według dzisiejszych standardów, zachowywaliśmy się jak gromada warchlaków. O mydłach bakteriobójczych, naczyniach jednorazowych, pakowaniu próżniowym, chusteczkach higienicznych, pieluchach jednorazowych nikt nawet nie słyszał. W wielu domach nie było ciepłej wody, a czasem nawet bieżącej. Moja Mama wspomina, że zdarzało jej się znajdować mnie śpiącego w psiej budzie – nigdy nie zaraziłem się żadną chorobą odzwierzęcą ani inną. Wizyta w publicznej toalecie była przeżyciem traumatycznym – lepiej było omijać je szerokim łukiem. Niemal nikt nie biegał po plaster i wodę utlenioną z powodu zdartego kolana lub podrapanego nosa. Biegaliśmy, nawet zimą, rozchelstani i prawie nigdy nie było na zimno. Piszący te słowa do dziś zachował zdumiewającą odporność na chłody.

Jakim cudem udało nam się w zdrowiu, szczęściu, pomyślności przeżyć w tak ekstremalnych warunkach? No, cóż... sklepów spożywczych było niewiele, a te, które były nie oferowały niczego szczególnego; za to w domu były nasze mamy i babcie, które gotowały trzy posiłki dziennie, a do szkoły szykowały nam śniadania. Dziś ludzie zrobili się wygodni – najczęściej dziecko nie dostaje do szkoły domowego śniadania tylko pięć złotych (u zamożniejszych więcej) z przykazaniem: kup sobie coś do jedzenia. No i dzieciak kupuje – najczęściej chipsy, jakiś batonik i butelkę słodkiego, napoju, czyli jedzenie, właściwie, pozbawione jakichkolwiek wartości odżywczych za wyjątkiem masy kiepskich węglowodanów, ale za to obficie naszpikowane chemią. Sklepików sprzedających taką „żywność” jest w okolicach szkół zatrzęsienie. Są i w samych szkołach. Nierzadko stoją tam też automaty z jakąś colą i słodyczami, czyli produktami skrajnie niewskazanymi. A ja do dziś pamiętam pyszne śniadania, jakie robiła moja Mama – chleb obficie posmarowany masłem i przełożony drobno pokrojoną, mięciutką słoninką obficie posypaną ostrą papryką albo z domowym, pełnym chrupiących skwarek smalcem. A po lekcjach pociechy drepczą do domu – na obiad! Niestety mama zwykle gdzieś pracuje, a babcia mieszka osobno i obiad trzeba zorganizować samemu. Jak? Najłatwiej jakąś zupę (lub inną potrawę) typu „instant”, czyli z torebki lub odgrzaną w mikrofalówce mrożonkę, czasem jest to tylko kawałek chleba z jakimś smarowidłem, dżemem lub podejrzanym serem. W miastach obiad to często tania knajpka ze śmieciowym żarciem typu kebab lub inny hamburger i rzecz jasna jakiś słodki napój. Oczywiście można przeżyć na takim wikcie przez czas jakiś, ale trudno oczekiwać przy nim czerstwego zdrowia i odporności niezależnie od tego ile pieniędzy przeznaczymy na preparaty „zwiększające odporność”, które wcisnęły nam oszukańcze reklamy.

A ówczesny poziom higieny – jakże różny od dzisiejszych sterylnych standardów nie szkodził nam? Ależ skąd! Wręcz przeciwnie – pomagał! Nasze organizmy były bez ustanku w kontakcie z „groźnymi”, „chorobotwórczymi” bakteriami, wirusami i alergenami tylko, że nie wywoływały one chorób – przeciwnie – działały jak naturalne, permanentnie podawane

szczepionki.

Drodzy Czytelnicy – kiedy widzicie umorusanego dzieciaka, który w jednej ręce trzyma nadgryzioną parówkę, a drugą tarmosi psa podwórzowego nie przerywajcie mu tego zajęcia. Jego organizm właśnie zabezpiecza się przed zarazkami i alergiami i to o wiele lepiej niż potrafilibyście to zrobić odżywką, tabletką, mydłem i sztucznym preparatem. No i zabierzcie mu to pięć złotych! Razowy chleb z masłem, boczkiem, smalcem, kiełbasą jest dla niego (dla Was też!) nieporównywalnie lepszy, bezpieczniejszy i wyjdzie taniej niż to cholerne pięć złotych.

Mariusz Waszak